

ZAŁĄCZNIK 1

Bolesław Leśmian *Topielec*

W zwiewnych nurtach kostrzewy¹, na leśnej polanie,
 Gdzie się las upodobnia łące niespodzianie,
 Leżą zwłoki wędrowca, zbędne sobie zwłoki,
 Przewędrował świat cały z obłoków w obłoki,
 Aż nagle w niecierpliwej zapragnął załobie
 Zwiedzić duchem na przelaj zieleń samą w sobie.
 Wówczas demon zieleni wszechleśnym powiewem
 Ogarnął go, gdy w drodze przystanął pod drzewem,
 I wabił nieustannych rozkwitów pośpiechem,
 I nęcił ust zdyszanych tajemnym bezśmiechem,
 I czarował zniszczotą² wonnych niedowcieleń,
 I kusił coraz głębiej – w tę zieleń, w tę zieleń!
 A on biegł wybrzeżami coraz innych światów,

Odczłowieczając duszę i oddech wśród kwiatów,
 Aż zabrnął w takich jagód rozdzwonione dzbany,
 W taką zamroc³ paproci, w takich cisz kurhany,
 W taki bezświat zarośli, w taki bezbrzask głuchy,
 W takich szumów ostatnie kędys zawieruchy,
 Że leży oto martwy w stu wiosen bezdeni,
 Cienisty, jak bór w borze – topielec zieleni.

(z tomu *Łąka*, 1920)

¹ **Kostrzewa** – rodzaj trawy łąkowej.

² **Zniszczota** [dialekt.] – zniszczenie.

³ **Zamroc** – zmrok, mrok.

Bruno Schulz *Sklepy cynamonowe* (fragmenty)

Wyszedłem w noc zimową, kolorową od iluminacji nieba. Była to jedna z tych jasnych nocy, w których firmament gwiezdny jest tak rozległy i rozgałęziony, jakby rozpadł się, rozłamał i podzielił na labirynt odrębnych niebios, wystarczających do obdzielenia całego miesiąca nocy zimowych i do nakrycia swymi srebrnymi i malowanymi kłozkami wszystkich ich nocnych zjawisk, przygód, awantur i karnawałów.

Jest lekkomyślnością nie do darowania wysłać w taką noc młodego chłopca z misją ważną i pilną, albowiem w jej półświatle zwielokrotniają się, płaczą i wymieniają jedno z drugimi ulice. Otwierają się w głębi miasta, żeby tak rzec, ulice podwójne, ulice sobowtóry, ulice kłamliwe i zwodne. Oczarowana i zmylona wyobraźnia wytwarza złudne plany miasta, rzekomo dawno znane i wiadome, w których te ulice mają swe miejsce i nazwę, a noc w niewyczerpanej swej płodności nie ma nic lepszego do roboty, jak dostarczać wciąż nowych i urojonych konfiguracji. Te kuszenia nocy zimowych zaczynają się zazwyczaj niewinnie od chętki skrócenia sobie drogi, użycia niezwykłego lub prędszego przejścia. Powstają ponętne kombinacje przecięcia zawilej wędrowki jakąś niewypróbowaną przecznicą. Ale tym razem zaczęło się inaczej.

Uszedłszy parę kroków, spostrzegłem, że jestem bez płaszcza. Chciałem zawrócić, lecz po chwili wydało mi się to niepotrzebną stratą czasu, gdyż noc nie była wcale zimna, przeciwnie – pożyczowana strugami dziwnego ciepła, tchnieniami jakiejś fałszywej wiosny. Śnieg skurczył się w baranki białe, w niewinne i słodkie runo, które pachniało fiołkami. W takie same baranki rozpuściło się niebo, w którym księżyc dwoił się i troił, demonstrując w tym zwielokrotnieniu wszystkie swe fazy i pozycje.

Niebo obnażało tego dnia wewnętrzną swą konstrukcję w wielu jakby anatomicznych preparatach, pokazujących spirale i słoje światła, przekroje seledynowych brył nocy, plazmę przestworzy, tkankę rojeń nocnych.

W taką noc niepodobna iść Podwalem ani żadną inną z ciemnych ulic, które są odwrotną stroną, niejako podszewką czterech linii rynku, i nie przypomnieć sobie, że o tej późnej porze bywają czasem jeszcze otwarte niektóre z owych osobliwych a tyle nęcących sklepów, o których zapomina się w dniu zwyczajne. Nazywam je sklepami cynamonowymi dla ciemnych boazeryj tej barwy, którymi są wyłożone.

Te prawdziwie szlachetne handle, w późną noc otwarte, były zawsze przedmiotem moich gorących marzeń.

Słabo oświetlone, ciemne i uroczyście ich wnętrza pachniały głębokim zapachem farb, laku, kadzidła, aromatem dalekich krajów i rzadkich materiałów. Mogłeś tam znaleźć ognie bengalskie, szkatułki czarodziejskie, marki krajów dawno zaginionych, chińskie odbijanki, indygo, kalafonium z Malabaru, jaja owadów egzotycznych, papug, tukanów, żywe salamandry i bazyliżki, korzeń Mandragory, norymberskie mechanizmy, homunculusy w doniczkach, mikroskopy i lunety, a nade wszystko rzadkie i osobliwe książki, stare folianty pełne przedziwnych rycin i oszołamiających historii. [...]

Uskrzydłony pragnieniem zwiedzenia sklepów cynamonowych, skręciłem w wiadomą mi ulicę i leciałem więcej, aniżeli szedłem, bacząc, by nie zmylić drogi. Tak minąłem już trzecią czy czwartą przecznicę, a upragnionej ulicy wciąż nie było. W dodatku nawet konfiguracja ulic nie odpowiadała oczekiwaniem obrazowi. Sklepów ani śladu. Szedłem ulicą, której domy nie miały nigdzie bramy wchodowej, tylko okna szczelnie zamknięte, ślepe odbłaskiem księżycy. Po drugiej stronie tych domów musi prowadzić właściwa ulica, od której te domy są dostępne – myślałem sobie. Z niepokojem przyspieszałem kroku, rezygnując w duchu z myśli zwiedzenia sklepów. Byle tylko wydostać się stąd prędko w znane okolice miasta. Zbliżałem się do wylotu, pełen niepokojem, gdzie też ona mnie wyprowadzi. Wyszedłem na szeroki, rzadko zabudowany gościniec, bardzo długi i prosty. Owiał mnie od razu oddech szerokiej przestrzeni. Stały tam przy ulicy albo w głębi ogrodów malownicze wille, ozdobne budynki bogaczy. W przerwach między nimi widniały parki i mury sadów. Obraz przypominał z daleka ulicę Leszniąską w jej dolnych i rzadko zwiedzanych okolicach. Światło księżycy, rozpuszczone w tysiącnych barankach, w łuskach srebrnych na niebie, było blade i tak jasne jak w dzień – tylko parki i ogrody czerniały w tym srebrnym krajobrazie.

Przyjrawszy się bacznie jednemu z budynków, doszedłem do przekonania, że mam przed sobą tylną i nigdy niewidzianą stronę gmachu gimnazjalnego.

ZAŁĄCZNIK 2

	<i>Sklepy cynamonowe</i>	<i>Topielec</i>
zasada zestawienia tekstów		
określenie sytuacji wypowiedzi i formy literackiej		
charakterystyka świata przedstawionego		
sposób prezentacji świata przedstawionego		
konwencja		
funkcje zastosowanej konwencji		
wnioski		